Rozmaitości

Dnia 15. Sierpnia N^er. 33. Roku 1840.

ANDRZÉJ DEL SARTO.

(*Journal de Paris.*)

I.

Słońce właśnie co było wzejszło po nad górę *San-Miniato;* jego blade promienie odbiły się o wysokie szczyty spaniałych pomników Florencyi i oblały je uroczystym blaskiem; jednakże ich światło nie rozwidniło jeszcze ulic miasta, a ponure ściany pałacu *Vecchio,* pokrywały jeszcze cieniem ślady krwi, którą Gwelfy i Ghibellinowie, Medyceusze i Polzi w swych rodzinnych niesnaskach, mury jego zbroczyli.

Na ulicach nie postrzegłeś nikogo, prócz skrzętnych przekupniów, którzy na objuczonych jarzyną i owocem mułach, do miasta na targ spieszyli; ujrzałeś także młodych rozpustników, którzy wysileni nocną biesiadą, szli ociężałym krokiem na spoczynek w chwili, w której inni ludzie dla ukończenia przerwanéj w przeszłym dniu pracy, ze snu się przebudzali. Całe miasto spoczywało jeszcze w owym porannym śnie, który za najlżejszym gwarem, za najmniejszym promieniem słońca, z oczu znika.

Już był ucichł rozlegający się tentent mułów, gdy oto w domu, niedaleko klasztoru Serwitów, otworzyły się z lekka drzwiczki, z których wyszedł młodzieniec, łagodnéj, przyjemnéj twarzy, i puścił się prosto ku klasztorowi. Jakieś szczególniejsze wahanie się widać było w chodzie tego młodego człowieka; im bardziéj zbliżał się do klasztoru, tym bardziéj ociągał się w kroku; nakoniec zatrzymał się nagle, wstrząsł głową, w minie widać było nieukontentowanie, namyślił się i znowu się wrócił, z kąd był przyszedł; lecz stanąwszy u drzwi swego domu, nabrał odwagi, zwiesił w dół głowę, i znowu się puścił ku klasztorowi nie zatrzymując się już na drodze i nie podnosząc w górę głowy; stanął nareszcie u fórty, pociągnął zwolna za krzyż wiszący na drócie, i tak cicho zadzwonił, iż ledwo dźwięku dosłyszéć można było.

Zakonnik wyszedł i poznał w młodzieńcu przyjaciela klasztoru, gdyż natychmiast otworzył mu fórtę i o coś po cichu zapytany, odrzekł mu uprzejmie: »O, niezawodnie, niezawodnie; wczoraj w wieczór oddałem mu twój list, mówił, że się dziś ciebie spodziéwa.«

Zdawało się, iż te słowa, a mianowicie ostatnie, bardzo ważne dla młodzieńca miały znaczenie, gdyż usłyszawszy je, mocno się zczerwienił, lecz wraz i wątpliwość jakaś wstąpiła w jego duszę; zwolna i nieśmiało zapukał do drzwi księdza skarbnika, ktory się go spodziéwał.

»A, czy to wasze, panie Andrzeju«, rzekł zakonnik i wpatrzył swe małe, siwe oczy w poczciwego, dobrodusznego młodzieńca. »No, jakże, czy żal ci teraz, żeś *per l'amor di Dio*, malował dla naszego klasztoru kilka obrazów z życia świętego Filipa? Nie prawdaż, że niémi zjednałeś sobie sławę?«

»Alem szczęścia sobie nie zjednał«, odrzekł Andrzéj bojaźliwie.

Zakonnik, jakby na to nie zważając, mówił daléj:

»Wszakże malowałeś także za miastem w klasztorze *di San Salvi*. Gmina ta jest

bogata, spodziéwam się, iż piękną otrzymałeś nagrodę.«

»Ach, wielebny ojcze, zawiérz, iż mi żadnéj nie dano, chociaż się ze mną święcie ugodzono.«

»No, jakkolwiekbądź, i na tém źleś nie wyszedł, sława twoja jest ustalona; już teraz nie będziesz pracował daremnie, jak w on czas, gdyśmy tobie nad innymi malarzami piérwszeństwo dali. Ci malarze ubiegając się o zaszczyt zasłużenia sobie łaski nieba, jedynie tylko *per l'amor di Dio,* z miłości ku Bogu, któremuśmy całe nasze życie poświęcać winni, ofiarowali nam usługi swoje.— Wiedz o tém, młody człowieku, iż jenijusz z nieba przychodzi, Bóg go zléwa na ludzi, którzy za to piérwiastki dzieł swoich jemu tylko poświęcać powinni.«

Półgłosem powtórzył malarz: »Ależ ze mną się ugodzono...«

»Zacny młodzieńcze bądź przekonany, że gdyby żądza zysku owładła duszę twoję, gdybyś nie uniósł się szlachetnym zapałem i nie poszedł za czystym miłości bozkiéj popędem, nigdybyś nié miał tak wielkiego natchnienia. Szczęśliwi artyści! powołanie wasze na tym świecie jest wielkie i szlachetne; szczególniéj, gdy religiję naszę swym mistrzowskim pęzlem, uroczystém uwielbieniem, w świetnych wzorach sławicie. Żadne złoto nie jest w stanie nagrodzić waszéj pracy; kto wam złotem płaci, ten was poniża, jenijuszowi waszemu uwłacza; my przyjmujemy urocze dzieła wasze w imieniu Boga, ponieważ jeden tylko Bóg za takowe przyzwoicie wynagrodzić was może.«

Gdy zakonnik to zbawienne upomnienie bez odetchnienia jednym słów strumieniem wylał, spuścił w ziemię oczy i zdawał się głębokiemu oddawać rozmyśliwaniu; na twarzy zaś malarza pojawiło się żałośne zdziwienie. Piękne, słodko brzmiące wyrazy: sława, zaszczyt, uwielbienie, miłość Boga, te pryzmata, na które zakonnik puścił wszystkie promienie swojéj wymowy, zaślepiły i odurzyły młodzieńca; spojrzał w niebo, jako świadka swojéj ofiary, i już odejść zamyślił.

Radośnym promieniem strzeliło oko zakonnika; pchnął spiesznie na pół odsuniętą już szufladę, a Andrzéj zadrżał na dźwięk metalu, który się z niéj ozwał uszom jego.

»Ależ przypomnij sobie, wielebny ojcze«, rzekł wzruszonym głosem, »żeś mi przyrzekł...«

»Dostarczyć innéj roboty.«

»Ach, bynajmniéj; przyrzekłeś mi dać dziesięć dukatów za każdy obraz; więc mi sto dukatów się należy.«

»Gmina nasza jest ubożuchna, mój synu, my żyjemy tylko z jałmużny«, odrzekł zakonnik pobożnie.

»Czyliż żądanie moje nie jest jałmużną; bądź przekonany, wielebny ojcze, że ta kwota, o którą cię upraszam, jest mi bardzo, bardzo potrzebną; wszakże ja nié mam nic na utrzymanie moje, wszak ja za pieniądze chléb mój kupuję, a jeźli mi odmówisz.....«

»Nie spodziéwałem się, mój synu«, odrzekł zakonnik, »iż kiedyś tego pożałuję, żem ci przed malarzem Francią, który się mi kilkakrotnie nastręczał, i przed Nicolo Sansowino, który do mnie tylekrotnie pisał, żem ci, mówię, przed témi oboma dał piérwszeństwo. Poleciłem ci dobrowolnie tę pracę, — a teraz, zamiast żeś powinien być wdzięcznym, jeszcze nagrody żądasz.«

»Wielbebny ojcze, ja ci wiecznie wdzięcznym być nie przestanę; tyś mnie podał rękę w samym początku kunsztu — ale Bóg widzi, że mnie bardzo tych pieniędzy potrzeba.«

Nareszcie zakonnik, pokonany niezwyczajném naléganiem malarza, wyliczył mu z zimną miną pięćdziesiąt dukatów.

»Oto masz swoję należytość.«

Andrzéj nie odrzekł ani słowa i zgarnął skwapliwie pieniądze. Jakoż dobrze się stało, że się ten spór raz już zakończył, gdyż młodzieniec ucierając się z boleścią serca, cały się spocił i już ustąpić zamyślał. Dumnie szedł teraz przez ulicę, która dóm jego od klasztoru rozdzielała; uzyskaną kwotą cieszył się, jak on bohatér odniesioném zwycięztwem.

Stanąwszy u drzwi domu, zakołatał w nie mocno: »Otwórz«, zawołał głośno, »otwórz Sansowino, już jesteśmy bogaci.«

»Bogaci?« odrzekł Sansowino z uśmiechem, »wszakże wracasz z klasztoru księży Serwitów!«

»Oto mamy pięćdziesiąt dukatów«, rzekł Andrzéj, rozsypawszy je po stole; »przestań się smucić kochany przyjacielu, gdybym wiedział, że cię to rozweseli, powtórzyłbym ci wszystko, co mi zakonnik o miłości Boga rozprawiał. — Lecz teraz nie czas po temu; wypogodź czoło swoje. — Może masz jakie długi? Może udręczasz się przyszłością? Uspokój się, będziemy pracowali, gdyż odtąd za każdą robotę już nam płacić będą!«

»Andrzeju«, odrzekł Sansowino, »cała ta kwota potrzebna mi jest do mojego odjazdu.«

»Do odjazdu«, odrzekł Andrzéj, »czyś zmysły stracił?«

»Ja muszę opuścić Florencyję.«

»Przebóg, Sansowino, powiédz jakim czynem, jakiém słowem naraziłem się tobie? Zaklinam cię na miłość Boga, który dla wszystkich istot jest łaskawym, przebacz i zostań przy mnie.«

»Nie mogę mój Andrzeju, muszę koniecznie jechać do Rzymu, dla zgłębienia arcydzieł kunsztu i ukształcenia się na prawego artystę. Ty masz wrodzony jenijusz, ale ja uczyć się muszę, bo inaczéj na zawsze partaczem będę.«

»A więc jedźmy razem«, odrzekł Andrzéj, »tam zobaczę pracę Rafała i Michała Anioła.«

»Jakże, toż nie skończysz twoich obrazów? — Nie, Andrzeju — pozostań w domu, ja do ciebie wkrótce powrócę.«

»Jako? ja mam pozostać w domu?« rzekł Andrzéj i zbladł z żalu na twarzy. »Ach, zaczekaj przynajmniéj dziś do wieczora«, dodał, spostrzegłszy, iż przyjaciel już się w podróż wybiérał.

»Nie mogę«, odrzekł Sansowino: »dziś w wieczór nie miałbym już odwagi. Odprowadź mnie przyjacielu za bramę miasta; dziś w wieczór mam się widzieć z pewną osobą, która mnie oczekuje w Sienic.«

Andrzéj nie mogąc się sprzeciwić przyjacielowi, pomyślił sobie w duchu: »Dobrze mi tak, samem sobie winien; gdy mi zakonnik za moje pracę zapłacić nie chciał, nie powinienem był nań tak mocno nalégać!«

Uszedłszy spory kawał drogi z Florencyi, zatrzymał się Sansowino na wzgórzu, z którego całe miasto przejrzéć było można.

»W tém miejscu pożegnać się musimy«, rzekł do przyjaciela.

Andrzéj nie odrzekł ani słowa, tylko wzrokiem powodził po okolicy, jak gdyby chciał zmierzyć przestrzeń puszczy, w któréj odtąd miał żyć samotnie; lecz gdy spojrzał na Sansowina, spostrzegł, że ten łzami się zalał.

»Jeszczem wszystkiego nie wyjawił przed tobą«, rzekł Sansowino: »widzisz tam na dole ów samotny u bramy Florencyi na pochyłości wzgórza stojący dworek, który na około zielonym gajem jest uwieńczony?«

»Widzę«, odrzekł Andrzéj. »Jak swobodnie możnaby w nim żyć z przyjacielem, któryby za Rzymem nie tęsknił!«

»Ach, nie staraj się wstrzymywać mnie Andrzeju, mógłbym łacno stracić odwagę, w którą się z boleścią uzbroiłem! — W tym dworku mieszka pewna dama, któréj ten list pożegnawczy doręczysz. Kochany przyjacielu, dowiédz się, ja sądziłem, że sama przyjaźń do naszego uszczęśliwienia nie jest dostateczna, że życie nasze bez miłości nie jest doskonałém szczęściem — ta niewiasta, która w owym dworku mieszka, okropnie mnie z tego omamienia wywiodła! Obaczysz ją, jest ona tak piękna, jak Madonna pęzla Sancyja, spaniała jak królowa, z tém wszystkiém nié ma w sobie ani iskierki czucia; powiedziałem jéj, że ją kocham; nie wzbraniała mi o tém mówić; błagałem ją, by mi uczyniła nadzieję, nie odmówiła mi tego; lubiła podniecać ogień, który moję duszę trawił; ale nieszczęście, dla drugiego czciciela była względniejszą, zachęciła go, roziskrzyła jego zapały, i powiedziała mu to, o czém sądziłem, że tylko mnie powiedziéć była powinna; śmiała się z moich żalów — o, mnie się zdaje, że ona nikogo w świecie nie kochała. Przyjacielu, tę niewiastę tylko jedno owładło uczucie: kokieteryja. Uwiadamiam cię naprzód o tém wszystkiém; jesteś przystojny, hoży i młody. Może się w niéj obudzi chętka, byś to wszystko dla niéj zmarnował. Strzeż się! Oddajże jéj ten list, a potém nigdy nie postań w jéj domu!«

Poczém obadwaj przyjaciele uściskali się serdecznie, a Sansowino odjechał.

Nierozsądny! Pocóż było przed Andrzejem tak wiele rozprawiać o tej pięknej kokietce? Toż nie mógł się spodziewać, iż przyjaciel jego tylko w samotności szukać będzie pociechy? — Odjechał i wystawił przyjaciela swego na wszelkie niebezpieczeństwo, na zwodnictwo kobiéty, któréj obraz sam w czucie jego wraził!

Nadchodzący wieczór zastał Andrzeja stojącego jeszcze na wzgórzu, na którém się z Sansowinem pożegnał. Wlepiwszy swój wzrok w daleki dworek, osłonięty wieczornym zmrokiem, zatopił się w dumanie. Nakoniec zwróciwszy się drogą ku miastu, powtórzył pocichu słowa przyjaciela: »Ona nikogo w świecie nie kochała.«

II.

Signora Lukrecyja de Fede wyszła właśnie z kąpieli, i dla wypoczynku, układła się na sofie, gdy jéj oznajmiono, że jakiś nieznajomy mówić z nią sobie życzy.

»Nazwisko jego?« zapytała pokojowéj, nieruszając się z miejsca.

»Andrzéj«, odrzekła dziéwczyna.

»A, prawda, przypominam sobie, jestto przyjaciel Sansowina, malarz. — Annino, słońce się mi naprzykrza, spuść firanki — jeszczem nie ubrana, sądzę, iż nieprzyzwoicie będzie przyjmować w tym negliżu młodzieńca.«

»I owszém, *Signora*, ten negliż jest ci bardzo do twarzy.«

»A czas jest drogi dla malarza«, dodała Lukrecyja, »nie wątpię, iż Sansowino jakąś ważną wiadomość mi oznajmi, nie wypada, ażeby czekał na mnie; Annino, proś malarza Andrzeja do pokoju.«

W chwilę późniéj stanął nieśmiały, zpłoniony i pomieszany malarz w obec Signory. Piérwszy raz w życiu zdarzyło się Andrzejowi spojrzeć w oczy niewiasty, gdyż do tychczas nie otaczała go żadna płci żeńskiej istota, jak tylko jego matka, stara służąca, i kilka wiejskich niewiast, które za modele do jego obrazów mu służyły. Nigdy jeszcze nie mówił z żadną damą.

Dla tego z roztargnienia zapomniał nawet powitać panią domu; przebąknął słów kilka, z których tylko nazwisko Sansowino zrozumiéć było można, i drżącą ręką oddał list; a gdy Signora dla przeczytania go spuściła oczy, Andrzéj ośmielił się wymówić z cicha: »Jakże ona jest piękna!«

Lecz jakkolwiek bardzo cicho wymówione były te słowa, przecież Lukrecyja je usłyszała i spojrzawszy na niego, uśmiéchnęła się.

Firanki u okien nie były mocno zasłonięte, promień słońca, który ukradkiem z za firanek się przecisnął, oświetlił twarz młodzieńca. Rysy twarzy jego były piękne i ujmujące, a przytém wyjazd Sansowina i widok niewiasty, którą tak mocno przyjaciel jego kochał, obudziły w duszy jego posępne dumanie, które malując się na jego twarzy, jeszcze bardziéj ją upiękniały.

»Dobrze, że się tak stało«, rzekła Lukrecyja, list przeczytawszy.

»Jakże ona jest piękna!« szepnął Andrzéj powtórnie.

W chwili gdy to wyrzekł, wypadł z rąk Lukrecyi list Sansowina, Andrzéj dla podjęcia go zgiął natychmiast kolano, i podał list nie wstając z miejsca; Lukrecyja zaś spuściwszy oczy, przypatrywała się fantastycznym kształtom, które promień słoneczny na dywanie w jéj pokoju odbijał.

Andrzéj klęcząc ciągle, nie wstał z miejsca. —

Lukrecyja spostrzegłszy to, uśmiéchnęła się, i niby zdziwiona, rzekła głosem, którego dźwięk jak odgłos najsłodszéj harmonii odbił się w duszy malarza:

»Dla czegoż klęczysz?«

»Ubóstwiam wzór piękności!« – odrzekł Andrzéj; słowa te zabrzmiały z głębi duszy, i jak błogi oddech z ust jego wypłynęły.

Lukrecyja podarła odebrany list, i nierzekłszy ani słowa, rzuciła z pogardą potargane szczęty.

Oboje pozostali na chwilę w głębokiém milczeniu; Lukrecyja oparłszy głowę na dłoni, spoczywała jak *Venus* na sofie, a Andrzéj klęczał u jéj nóg ni anioł pokory; ona utopiła wzrok w miłą twarz malarza, i oddała się słodkiemu zadumaniu, on spuściwszy w dół oczy, z rozkoszą i bojaźnią nadsłuchiwał w swém sercu głosu, który miłością go

zachwycał, jednakże pamiętał oraz i o przyjacielskiém napomnieniu, które w duszy jego jak daleki odgłos się odzywało: »Zanieś jéj ten list, lecz potém nie postań nigdy więcéj w jéj domu.«

Ależ Sansowino powiedział także, »że ona nikogo nie kochała«, a rozognione serce Andrzeja owładła skryta, oraz dumna żądza rozkochania téj nieczułéj piękności.

»Ach, jakżem nieszczęśliwa!« odezwała się po niejakim czasie Lukrecyja.

»Nieszczęśliwa?« zawołał Andrzéj z żywością, »chciéj mi pani powierzyć swoje zmartwienia.«

»Albož temu zaradzisz?« odrzekła i spuściła dłoń swoje w rozognioną rękę młodzieńca. »Przedewszystkiém wstań i usiądź przy mnie, aby ci jakie nieukończone arcydzieło nie przypomniało twéj pracowni. — Miałam matkę«, mówiła daléj, »matkę, która mnie niewymownie kochała.«

»Podobnie, jak mnie moja kocha!« pomyślił sobie Andrzéj.

»Byłyśmy ubogie; smutno poziérała matka na moje z wiekiem wzrastającą urodę; ilekroć jaki młody mężczyzna w kościele lub na ulicach Florencyi, wpatrzył się we mnie, zawsze matka moja widząc to, westchnęła boleśnie, i oddaliła się ze mną z tych miejsc jak najspieszniéj. Jednego razu zapytałam ją o przyczynę. »Ach córko moja«, odrzekła, »gdy mnie już nie będzie, obawiam się, abyś nie uległa niebezpieczeństwu, na jakie cię twoja uroda narazi; nie masz takiego majątku, abyś mogła mieć nadzieję pójść za majętnego kupca; nie życzyłabym sobie także, abyś do zwiększenia nędzy jakiego artysty lub żołniérza przyczynić się miała; lękam się, iż ty przez płochość do bogactwa tylko dążyć będziesz, a ta myśl zatruwa gorycz ostatnie dni moje.« Dla jéj uspokojenia przyrzekłam prowadzić życie najcnotliwsze; nie długo trwało, a pewien stary mężczyzna z osiwiałą głową, domagał się mojéj ręki; matka dała mu słowo, a ja nie chcąc ją martwić, byłam posłuszną jéj woli. Ale mogłażem kochać człowieka, którego nazwisko u zepsutych niewiast było w obiegu? — Mąż mój wprowadzał mnie w najświetniejsze towarzystwa; byłam otoczona uwielbieniem, młodzi mężczyźni oświadczali mi miłość swoje; jednym z nich był twój przyjaciel Sansowino, a żem na wszystkie ich grzeczności, równie grzeczną była, sądzili, żem im jakowąś nadzieję dawała do pozyskania mego serca; żem ich żarty żartami zbywała, mówili, żem jest próżną, przeniewierna, złudnicą; właśnie toż samo pisze mi twój przyjaciel Sansowino. — Śmierć mego męża uwolniła mnie nareszcie od tyrana, któremu mnie moja matka poświęciła; odtąd już nie myślę drżeć przed wzrokiem mężczyzny dla tego, że jest panem mojéj ręki.«

»Ach, gdybym ja to szczęście miał w udziele, iżby mię piękna niewieścia istota kochała!« — Zawołał Andrzéj z żywością.

»Jako, toś jeszcze nigdy nie był kochanym?«

»Miałem wprawdzie przyjaciół, ale pieściwéj, szczeréj powiernicy serca, nie miałem nigdy jeszcze! Mnie się zdaje, iżbym nigdy nie śmiał przed nią wymówić tego słowa: kocham ciebie. A gdyby wyznania mego nie przyjęła? gdyby się urągała z mojéj miłości? — a przecież, ileż razy nie wyobrażałem sobie tę uroczą kobiétę, u nóg któréj chętniebym całe moje życie przepędził! w oczach jéj szukałbym boskiego natchnienia do mego kunsztu, dzień i noc pracowałbym z ochotą, aby tylko uprzedzić jéj najmniejsze życzenie; nie byłbym ani kochankiem ani małżonkiem — ach z duszy, byłbym jéj niewolnikiem! Ale niestety! takiéj niewiasty jeszcze nigdzie nie znalazłem!«

»A gdzież to jéj dotąd szukałeś?« zapytała Lukrecyja pieszczotnym głosem.

»Aż do dnia dzisiejszego poprzestawałem na saméj przyjaźni Sansowina, — lecz on odjechał, a ja — pozostałem samotny.«

To rzekłszy, zwrócił na Lukrecyję błagające spojrzenie.

»Odwidź mnie czasem«, rzekła, »gdy ci samotność przykrzyć się będzie.«

Podała mu rękę, Andrzéj ujął ją z zapałem, a spojrzawszy miłośnie w oczy pięknéj Florentynki, rzekł z prostotą serca: »Ach, gdyby mi wolno było ucałować twą rękę pani!«

Lukrecyja nie mogła się wstrzymać od uśmiéchu. Andrzéj ucałował z najżywszą rozkoszą jéj rękę, i wyszedł z pokoju dumny i uszczęśliwiony; zapomniał o tém, że Sansowino dnia wczorajszego odjechał, zapomniał o wszystkiém, co minęło, nie myślił o niczém, tylko o dniu jutrzejszym, gdyż już nazajutrz postanowił sobie odwidzić Lukrecyję.

Upojony radością wrócił do domu i napisał list do przyjaciela Sansowina, donosząc mu, iż się w swém mniemaniu omylił, że Lukrecyja umié kochać wzajemnie.

Sansowino przestrzegał go listami, by się nie oddawał téj miłości, która go zgubić może i która go samego dotąd jeszcze dręczyć nie przestaje.

Przez długi czas starał się Andrzéj zbijać to zdanie, ale przekonawszy się, że wszelkie jego usiłowanie jest nadaremne, zaczął wymawiać się przed przyjacielem, i coraz rzadziéj pisywał; a to dla tego, że mu już przed Samsowinem o niéj wspominać nie było wolno.

Jednakże przez przypadek dowiedział się Sansowino o wszystkiém, co Andrzéj przed nim ukrywał.

Pewien przekupień handlujący obrazami przywiózł do Rzymu madonnę pęzla Andrzeja; Sansowino za piérwszym rzutem oka poznał twarz Lukrecyi w tym obrazie. Przekupień opowiedział mu przy téj sposobności wypadek, o którym Sansowinowi lepiéj a niźli jemu było wiadomo; jeden tylko szczegół był dla niego niespodziéwany, że przyjaciel jego wkrótce Lukrecyją zaślubić zamyśla.

III.

O, czemuż Andrzéj nie usłuchał przestróg swojego przyjaciela! czemuż przylgnął całą duszą swoją do płochéj istoty, z którą się już rozstać nie zdołał!

Przyzwyczajony, równie jak wszyscy malarze, nadawać matce Zbawiciela kształt najpiękniejszy, w prostaczéj szczérości serca swego wziął symbol za rzeczywistość; a że Lukrecyja w oczach jego pięknością swoją Madonnie równała, sądził więc, że i takaż sama dusza w niéj zamieszkiwa. Zapamiętały! nie rozważył, iż najcieńszym listeczkiem złota najlichszy metal pozłocić można! Żyjąc z przyjacielem Sansowino w samotném ustroniu, nie umiał znać ludzi, nie miał sposobności zbadać tajni serca płochéj zalotnéj kobiéty.

Z własnéj ochoty wprzągł się Andrzéj za niewolnika do rydwanu dumnéj Lukrecyi; już nie sam kunszt szlachetny wiódł go do pracy, już go nie roziskrzała sława i nieśmiertelność, już nie gardził pieniądzmi, które odtąd dla rozrzutnéj kochanki były mu niezbędne. Dopokąd niespracowane ręce jego dostarczały tego kruścu, piękna Włoszka dawała uczty, biesiady, w których Andrzéj grał tylko podrzędną rolę. A przecież Andrzéj kochał ją namiętnie; zajęła ona tak széroko-władnie serce jego, iż na wszystkich swoich obrazach wizerunkował anielską postać tego szatana. Z tém wszystkiém potęga jenijuszu jego, była tak wielką, iż ostatniémi dzieły swémi, obudził powszechne podziwienie, a w swoich spółzawodnikach zawiść niemałą.

Jednakże zdrowie jego śród tylu trosk, starań i nieustannéj pracy, byłoby nakoniec uległo temu wysileniu, gdyby Sansowino, który stał się niewinną przyczyną wszelkich udręczeń jego, nie był mu przyszedł w pomoc i nie podał ręki z téj przepaści.

Byli podówczas (1517 roku), równie jak są podziś dzień obrazo-kupcy, którzy od artystów prawie za samo płótno dzieł ich nabywają, a potém je za wielką kwotę sprzedają. Ci ludzie, raczéj łupiezcy, powstali razem z kunsztem, jak powstaje pasorzytne zielsko obok szlachetnego szczepu; karmili oni oszczędnym kęsem chleba swych robotników, aby im plon nie zniszczał nim jeszcze przyśpieje. Jeden z nich jechał właśnie do dworu króla francuzkiego Frańciszka I. Sansowino powierzył mu dwa obrazy Andrzeja, z tym jedynie warunkiem, aby je przed królem ukazał.

Frańciszek I. byłto w istocie wielki, szlachetny, spaniały monarcha; jemu winna stolica Francyi owę piękną gościnność, jakiéj wszelkiego rodzaju artyści jeszcze podziś dzień doznają. Włochy były wprawdzie kolébką pięknego umnictwa, ale właściwą ich ojczyzną, tą błogą, pokrzepiającą oazą, gdzie po trudach w piaszczystéj puszczy, lotne jenijusze słodko wypoczywały, była Francyja. We Włoszech marli z głodu: Andrzéj, Benvenuti Cellini i Leonardo da Vinci; we Włoszech byli zakonnicy, którzy *per amor di Dio* brali wieloletną pracę malarzy; we Włoszech byli wielcy panowie, którzy pensyję przyrzekali, ale u których każdą złotówkę jak jałmużnę wyżebrać było trzeba; we Włoszech rozdawano ordery i honorowe posady, ale one zdobiły tylko głód i nędzę.

A gdy artystom włoskim krwawy pot ciekł z czoła, gdy nieszczęście przebiérało miarę ich cierpliwości, wtedy zwracali tęskne oczy swoje ku Francyi, która ich uprzejmie do swéj stolicy wabiła. Jakoż wszyscy wielcy artyści szukali i znajdowali swobodę i względy u Frańciszka I., który dobrze o tém wiedział, iż ich swoją królewską spaniałością zachęci i uszlachetni.

Frańciszek I. ujrzawszy obrazy malarza Andrzeja, powołał go do swego dworu. Byłto dla niego zaszczyt nadzwyczajny, który Andrzéj ocenić umiał; śluby z Lukrecyją musiały być odłożone aż do jego powrotu. Chętnie zezwoliła na podróż narzeczonego przebiegła Włoszka, gdyż była téj otuchy, iż tym sposobem dla marnotrawstwa swego, nie małe mieć będzie zasiłki.

Król przysłał malarzowi znaczną kwotę w złocie, gdyż mu było wiadomo, że jest za ubogi, aby własnym kosztem odbył podróż do Francyi. Andrzéj małą tylko cząstkę sobie pozostawił, większą część oddał Lukrecyi. U bramy *del Popolo* zastał już przyjaciela swego Sansowina, który oczekiwał go z dwoma, w podróż przygotowanémi mułami. Wolni trosk i swobodni, jak za czasów swojego ustronnego życia w Florencyi, puścili się do Genui, gdzie już na nich czekał okręt królewski.

(Dokończenie nastąpi.)

ZE LWOWA.

Tygodnika rolniczo-przemysłowego pod Redakcyją T. W. Kochańskiego, wyszedł Nr. 31. i obejmuje: 1) O nawożeniu łąk. 2) Kość mielona. 3) Pérz jako karma dla bydła. 4) Herbata dla cieląt. 5) O rozmaitéj karmie bydła i jéj wartości ze względu pożywienia. (Dokończenie.) 6) O fabrykacyi cukru z buraków. 7) Rakahu (*racahout*) i sposób przyrządzenia onegoż. 8) Hołowica Krausa na 32 korce zacieru kartoflowego.

Lwowianina, przeznaczonego krajowym i użytecznym wiadomościom, wydawanego w połączeniu prac miłośników nauk, zeszyt drugi opuścił prasę na początku miesiąca sierpnia r. b.

W tegoroczném piśmie czeskiém *Wlastimil*, w zeszycie III. tomu 2go, umieszczona jest między innemi w tłumaczeniu powieść K. W. Wojcickiego: *Dobosz;* następnie czytamy tamże *Słowo o filologii*, przez znanego w kraju naszym J. P. Kaubka, obecnie profesora literatury czeskiéj przy uniwersytecie praskim. Między drobniejszémi artykułami jest: *a)* Ludność Żydów w Polszcze; *b)* O sadzie Stanisława Bojarskiego (?) w Przemyślu, na przedmieściu lwowskiém; *c)* O zakładach we Lwowie hrabi Stanisława Skarbka; a w końcu zawarty przegląd tomu piérwszego: *Historyi literatury polskiéj Michała Wiszniewskiego*, wraz z przekładem sławnej tegoż »Przedmowy.« *S. J.*

Z Berlina: W tutejszéj księgarni Behra wyszło ważne dziełko: Torquata Tassa *Amyntas*, komedyja pastérska, przełożona na język polski przez nieznajomego autora i wydana z rękopisma przez Fr. K. Nowakowskiego. Tenże wydawca zajmuje się właśnie drukiem dzieła, którego rękopis wydobył z tutejszéj biblijoteki królewskiéj, pod tytułem: *Jocoserya, abo poważne ludzi mądrych pisma i powieści z różnych authorów zebrane i przepisane w r.* 1630. Polszczyzna w rękopiśmie tém ma być czysta.

Z Wilna: Michała Grabowskiego — wyjdzie wkrótce: *Stanica Hulajpolska*, (nazwa włości ukraińskiéj), powieść narodowa z czasów Augusta II., w czterech lub pięciu tomach. Dwa już wyszły — reszta pod prasą.— J. I. Kraszewskiego — wyjdą także *Nowe Wspomnienia Wołynia, Polesia i Litwy;* we dwóch tomach.

Dano także do druku rękopis piérwszego tomu *Poezyj* Szymona Konopackiego.

Wyimek z listu pewnego podróżnego z Petersburga. »W Warszawie obudza się znowu wesołość i towarzyskie pożycie. Na hucznych balach wielkich panów panuje jeszcze zawsze świetność i przepych Lukulla. Jednakże cała ta świetność znika na widok powabnych i ujmujących dam tego kraju, które jak czarodziejki z śnieżnych lilij utkane, nito napowietrzne istoty po rzęsisto oświetlonych salach się unoszą. Byłem kilkakrotnie w teatrze, polska komedyja jest dobrą, i zarywa szkołą francuzką. Trajedyja wcale się mi nie podobała, a pani Halpert, odznaczająca się równie kunsztem jak i osobistością, jaśnieje zawsze jeszcze jako gwiazda na horyzoncie trajedyi, która już prawie zupełnie podupadł. Polska opera stoi niżéj estetycznego punktu zamarznięcia, gdyż tu nie ma żadnéj szkoły śpiewu i każdy śpiewa podług swego uczucia. Jedna tylko komiczna opera Aubera, pod nazwą: *Cheval de bronce* zasługuje na wzmiankę, w któréj przepysznémi ubiorami i okrągłém przedstawieniem całości, niedostatek śpiewu zastąpiono. Balet zaś jest wzorowy, równie jak i przyozdobienie jego nic do życzenia nie pozostawia. Zdaje się, iż więcej zwrócono uwagi na zwinność nóg, a niżeli na ukształcenie umysłu.«

Talizman Karola Wielkiego. Londyńskie dzienniki donoszą: Zapewniają tu, iż książę Ludwik Napoleon, zamyśla przysłać marszałkowi Moncey, zarządcy domu inwalidów, talizman Karola Wielkiego, który otrzymał w puściźnie po zmarłéj księżnie Leu, swojéj matce, z tym warunkiem, aby go tenże złożył w grobie cesarza. O talizmanie tym opowiadają wypadek następujący: Gdy w Akwizgranie otworzono grób, w którym ów wielki cesarz spoczywał, znaleziono go w rzymskim ubiorze, na głowie jego podwójną koronę Niemiec i Francyi, u boku przy tajstrze pielgrzymskiéj, ów dzielny miecz, którym jak zakonnik z St. Denis opowiada, zbrojnemu rycerzowi głowę rozpłatał; nogi jego spoczywały na paizy z szczérego złota, którą mu papież Leo darował, a na szyi miał talizman, którym był niezwyciężony. Talizmanem tym była drzazga z krzyża Zbawiciela, którą mu cesarzowa Irena w podarunku przesłała. Drzazga ta oprawiona w smaragd, wisiała na łańcuchu z grubych ogniw złożonym. Obywatele Akwizgrańscy talizman ten dali w uroczystym upominku Napoleonowi, gdy swój wjazd do tegoż miasta odbywał. W roku 1811 zawiesił go cesarz żartem królowéj Hortenzyi na szyję, oświadczając przytém, że go w bitwie pod Austerlitz i Wagram, podobnie jak Karol Wielki przed dziewięć set laty, na swojéj piersi nosił. Od tegoto czasu księżna St. Leu nie rozstała się z tą drogą relikwiją aż do swojéj śmierci.

Lucyjan Bonaparte najbardziéj się odznaczał między bracią Napoleona; on przyśpieszywszy powrót jenerała Bonapartego z Egiptu i przywiodłszy swoją przytomnością umysłu, która tamtego na chwilę była odstąpiła, rewolucyję 18 *Brumaire* do skutku, utorował mu do cesarstwa drogę, chociaż najmniéj jego woli się poddawał. Lucyjan urodził się w Ajaccio 1775 roku. W r. 1792 wygnany przez Paola z swoją familiją z Korsyki, został w St. Maximien w Prowancyi zarządcą magazynu, i ożenił się tamże z panną Boyer. W końcu wyprawy roku 1795 był komisarzem wojennym, we dwa lata późniéj (chociaż mając dopiéro lat 24) został w radzie pięciuset deputowanym. Dnia 18go *Brumaire* piastował godność prezydenta w témże zgromadzeniu; na burzliwem posiedzeniu dnia tegoż, okazał równie wielką dzielność i przytomność umysłu, bo gdy oprzéć się nie mógł naleganiu członków, którzy głośno żądali, aby brata jego z kraju wywołano, wyszedł z sali, dosiadł konia i przemówiwszy silnie do wojska, skłonił je do rozpędzenia deputowanych z sali obradnéj. Za konzulatu był Lucyjan człowiekiem trybunału, a późniéj na miejscu pana Laplace, ministrem spraw wewnętrznych. Będąc na téj posadzie, wypracował podział kraju na departamenta, i przykładał się wiele do podniesienia kunsztów i umiejętności. W roku IX. wysłany był jako poseł do Hiszpanii, późniéj do Włoch, i pod względem odstąpienia krajów, zawarł z postronnemi mocarstwami kilka bardzo korzystnych dla Francyi układów. Zawarty z Pijusem VII. konkordat przedłożył Lucyjan w bardzo rozważnéj przemowie trybunałowi; dnia 18go maja 1802. zaprowadził tamże legiję honorową, któréj najwyższym oficerem go mianowano. Nowo-założony instytut obrał go swoim członkiem. Ożeniwszy się powtórnie z panią Jauberton, wdową po pewnym bankierze, poróżnił się na zawsze z Napoleonem, który tak z swoją rodziną jak i z publicznémi swobodami równie się despotycznie obchodził. W roku 1804 osiadł we Włoszech i zostawał tam aż do 1810, w którymto czasie do Stanów Zjednoczonych Ameryki północnéj wynieść się postanowił. Lecz pod Kagliary zabrały okręt jego dwie angielskie fregaty i zaprowadziły do Malty, z kąd go rząd angielski jako jeńca do

Ludlow w Shropshire zawieźć rozkazał. Lucyjan sprowadził tam rodzinę swoję i mieszkał w pięknéj okolicy niedaleko Ludlow, aż pokąd przez wypadki w r. 1814 na wolność wypuszczonym nie został. Z tamtąd przeniósł się do Rzymu, gdzie go papież Pijus VII. przyjaźnią swoją zatrzymać usiłował. Tymczasem nieszczęście Napoleona stłumiło wszelki gniew w braterskiém sercu Lucyjana; korespondował on z nim na Elbie, a za powrotem jego do Francyi, przybył także Lucyjan do Paryża i wstąpił do izby parów. Po katastrofie pod Waterloo wrócił znowu do Rzymu. Osiadłszy w *Villa Ruffinella* niedaleko Fraskati, napisał tam poemat pod nazwą: »*Cyreneida, czyli Korsyka wyzwolona.*« Drugi poetyczny utwór pod nazwą: »*Karol Wielki*« ukończył podczas swojéj niewoli w Anglii, z tém wszystkiém położył on nierównie większe zasługi jako mowca, polityk i dyplomat, niźli jako poeta. Ostatnie 25 lat, wyjąwszy w przeszłym roku podróż do Niemiec, spędził we Włoszech, gdzie swobodny swój czas kunsztom i umiejętnościom poświęcał. Umarł jak wiadomo, w Witerbo dnia 29go czerwca b. r. Najstarszy syn i spadkobierca po Lucyjanie, słynny z wiadomości zoologicznych, ożenił się z kuzyną, córką Józefa Bonapartego. Córka Lucyjana jest małżonką zacnego lorda Dudleja Stuarta.

P a g a n i n i. Przesadzone a poczęści zupełnie mylne doniesienia o Paganinim, które w ostatnim czasie w pismach publicznych ogłoszono, były powodem, że doktor Lambertyni, znany redaktor gazety medyjolańskiéj, zostający w przyjacielskich stosunkach z rodziną zmarłego artysty, podał w téj mierze do powszechnéj wiadomości następujące sprostowanie: »Dnia 27. kwietnia 1837 napisał Paganini testament, który dnia 1. b. r. rozpieczętowano. Nie mógł on swojéj matce żadnego majątku odkazać, gdyż ta już od dawna nie żyje. Atoli powszechnym spadkobiercą swego majątku mianował swojego syna Achillesa; jednéj z sióstr swoich zapisał 75,000 franków kapitału, który po jéj śmierci na dzieci jéj w równych częściach rozdzielonym zostanie; drugiéj siostrze zapisał 50,000 franków pod temiż saméml warunkami. Z nieruchomych dóbr i ogrodów wraz z przynależytościami, które miał w księztwie Parmy pod nazwą: *Villa-Gajone*, założył majorat męzkiéj linii, którą jego syn Achilles prowadzić zacznie. Pewnéj osobie z Lukka zapisał w dożywocie 6000 frank., i wyznaczył, aby u księży kapucynów w Genui sto mszy za jego duszę odprawiono; nakoniec 1200 franków rocznéj pensyi zapisał matce swojego ukochanego Achillesa. Mylném jest twierdzenie, że ta ostatnia jest Żydówką i nieukształconą, była ona śpiéwaczką i udowodniła talent swój w koncertach, które Paganini w roku 1823 i 1828 dawał w Paryżu i Londynie. Jedne tylko z swych skrzypców, to jest te, których najczęściéj używał, zapisał miastu Genui, aby takowe na pamiątkę jego tamże przechowano. Żądał wyraźnie, aby mu świetnego nie sprawiano pogrzebu, i życzył sobie, aby mu artyści żadnych exekwij nie robili. Opiekunem swego syna obrał zacnego margrabię Wawrzyńca Pareto, upraszając go usilnie, aby mu tego nie odmówił i dodał mu trzech innych szanownych mężów jako wykonawców testamentu. Cała puścizna wynosi niemal: milijon siedm kroć sto tysięcy franków (680,000 złr. m. k.) W ostatnich dziesięciu latach zostawał Paganini ciągle w tem przekonaniu, iż po swoim ojcu (dość odznaczającym się muzyku na mandolinie), odziedziczył organiczną piersiową chorobę, i uskarżając się na suchy kaszel, chciał się go pozbyć zażywaniem znanego lekarstwa *le Roy*, w którém wielkie zaufanie pokładał. W skutek tego tak się osłabił, iż odtąd nie mógł mówić, jak tylko bardzo cicho; dla podniesienia więc głosu, i nadania swym słowom dźwięku, nozdrze przyciskać musiał. W miesiącach ostatnich stracił zupełnie mowę, i już tylko jestami się wyrażał, które syn jego Achilles tak dokładnie rozumiał, iż dla tłumaczenia ich ani na chwilę od niego nie odstępował. Paganini umarł dnia 25. maja b. r. o godzinie piątéj po południu w 56 roku życia swego. Ciało jego nabalsamowane w Nizzie, przewiezioném będzie do Genui, skoro w téj mierze przyzwolenie nadejdzie.«

Ż a ł o b a p o c e s a r z o w é j c h i ń s k i é j. Po śmierci cesarzowéj chińskiéj, musiał cały naród na miesiąc przywdziać żałobę, mandarynom przez sto dni nie wolno było golić brody. Mówią, iż cesarzowa ta była nadzwyczajnie piękną kobiétą i reformom bardzo sprzyjała. —

M o d n i s i e w C h i n a c h. Powszechném jest mniemanie, iż Chińczykowie będąc tak poważnym i ociężałym narodem, nie mają trzpiotów, modnisiów i wiercipiętów, a przecież ta rzecz ma się przeciwnie. Mało jest krajów, w którychby ta wytworna kasta w tak znacznéj znajdowała się ilości, jak w Chinach. Toaleta chińskiego modnisia, jest bardzo kosztowna. Takowa składa się z najdroższych materyj krepowych i jedwabnych; buty i trzewiki jego mają zupełnie swoję własną formę, i zrobione są z najpiękniejszego białego nankinowego atlasu; u podeszwy jest niejakie podwyższenie; kolana jego ozdobione są wytwornym haftem; fajka jest z najprzedniejszego gatunku; tytoń z najlepszéj fabryki w Fokijen; na łańcuszku z drogich pereł, do którego przymocowane jest piórko do zębów, tudzież mocno naperfumowany misternéj roboty wachlarz, nosi modniś ten złoty zegarek angielski. Liberyja jego podobnież w jedwabie jest ubrana. Palankin, słowem wszystko, co do niego należy, jest w największym stopniu wykwintne. Spotkawszy się z osobą znajomą, okazuje wyrachowaną układność w swojem zachowaniu się, podobnie jak najukładniejszy nasz modniś europejski, któreto zachowanie się przez przesadne ceremonije chińskie, jest tem śmiészniejsze. Ubiór dam chińskich mało tylko od ubioru mężczyzn się różni; pielęgnują one z wielką troskliwością włosy i rzadko kiedy przykrywają głowę. Kunsztowne kwiaty, złote iglice, drogie kamienie odbijają bardzo pięknie od smagławéj ich cery. Atoli jakkolwiek chińskim damom na wrodzonych wdziękach nie zbywa, jednakże z pięknemi Georginkami lub innémi azyjatyckiemi kobietami na żaden sposób w porównanie iść nie mogą. Z tém wszystkiém w Pekinie ujrzysz damy mające kolor twarzy dam europejskich, chociaż takowe ani sztucznego czerwienidła ani téż innéj mieszaniny do barwienia twarzy nie używają. Małe, jakkolwiek czarne i żywe oczy ich, nie mają téj ujmującéj łagodności, ani tego wdzięku, jakie mają duże, niebieskie oczy dam europejskich. U Chińczyków dama tylko wtedy jest piękną, gdy ma wązki krój oka, lekko wyrzucone usta, gładkie, krucze włosy i nadzwyczajnie małą nogę. Szczególniéj ta ostatnia jest charakterem jéj piękności; mała nóżka stanowi wartość oblubienicy. Noga młodéj dziewczyny razem z podbiciem nie ma więcéj jak 5 cali długości. Ten równie barbarzyński jak i nierozsądny zwyczaj zmniejszania nóg, jest przyczyną, że damy, szczególniéj znakomitych osób, prawie chodzić nie mogą.

W Marsylii panna mająca lat 75 i tyleż tysięcy fr. rocznego dochodu, niedawno ogłosiła, iż życzy sobie nakoniec wejść w stan małżeński. Rzecz osobliwsza, że tegoż dnia zgłosiło się o rękę téj panny konkurentów w takiéjże liczbie, to jest: siemdziesiąt pięciu!

REDAKTOR J. N. KAMIŃSKI. — NAKŁADEM SPADKOBIERCÓW F. KRATTERA. — DRUKIEM P. PILLERA.